

## Z KUSKOWIZNY, BROKU-PODDUCZA, KACZKOWA STAREGO I NOWEGO NA PRZYMUSOWE ROBOTY DO NIEMIEC

To kolejne wspomnienia z kilkudziesięciu zebranych i opracowanych przez **Jadwigę Sadowską i Alinę Wierzbicką** w książce *Wojna 1939-1945 we wspomnieniach mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej i okolic*, wydanej w roku 2019 przez **Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej**.

W czasie wojny 1939-1945 wysłano z Polski do Niemiec na przymusowe roboty ok. 2 miliony młodych ludzi, często nawet 15-16-letnich. Poniżej zamieszczono 6 relacji osób (lub ich bliskich), które w okresie wojny były wysłane na takie roboty. Osoby ze wsi były kierowane do prac domowych i polowych w Niemczech. Szczególnie interesujące jest tu wspomnienie Czesławy Grabowskiej z Kuskowizny (z domu Bednarczyk), która opisuje dokładnie, jak odbywała się podróż, jak byli „wybierani” przez czekających na dworcu Niemców, co robili u niemieckich gospodarzy, jak wrócili. Przymusowymi robotnikami byli też jeńcy wojenni, mężczyźni, którzy dostali się do niewoli w czasie kampanii wrześniowej.

## Z KUSKOWIZNY NA PRZYMUSOWE ROBOTY DO NIEMIEC

Na przymusowe roboty do Niemiec wysłano z Kuskowizny kilkanaście osób, w większości dziewcząt. Najmłodsze miały po 16 lat. Trafiały na wieś do lepszych lub gorszych gospodarzy niemieckich. Niestety, w pamięci rodzin zostały już tylko fragmenty wspomnień. Wśród wysłanych do Niemiec były: Helena Brzostek (c. Józefa), Apolonia Brzostek (c. Józefa, 16 lat), Czesława Brzostek (c. Stanisława, 18 lat), Janina Brzostek (c. Józefa), Irena Brzostek (c. Pawła), Kamila Bednarczyk (c. Ludwika), Czesława Bednarczyk (c. Piotra), Władysława Lipka (c. Jana), Jadwiga Siedlecka (c. Stefana, 16 lat), Czesława Szablowska (c. Władysława), Zofia Traczyk (c. Aleksandra). Na robotach było trzech mężczyzn z Kuskowizny: Józef Bednarczyk (s. Piotra), Mieczysław Siedlecki (s. Wiktora) oraz wzięty jako jeńiec wojenny Kazimierz Bednarczyk (s. Bronisława).

Wysyłano ich w różne miejsca, do tzw. Prus Wschodnich (okolice Królewca, Kłajpedy) lub na Pomorze Zachodnie (okolice Szczecina), czasem spotykali osoby z sąsiednich miejscowości. Zofia Traczykówna z Kuskowizny, wysłana w kwietniu 1940 roku, pracowała razem z Marianną Kryszczuk z Broku-Zarycza. Obie były w miejscowości Poplitten, Kreis (powiat Heiligenbeil (obecnie rosyjskie Mamonowo, a niegdyś polska Święta Siekierka w Prusach Królewskich) koło Królewca (niem. Königsberg, obecnie rosyjski Kaliningrad).

Czesława Szablowska pracowała we Frankenfelde, Kreis (powiat Märkisch-Oderland w Brandenburgii (obecnie część wioski Wriezen, kilka kilometrów na zachód od granicy na Odrze).

Czesława Brzostkówna, Janina Brzostkówna i Zofia Brzostkówna pracowały na Pomorzu, w okolicach Gryfina nad Odrą, niedaleko Szczecina. Kilkanaście kilometrów od Szczecina w kierunku Stargardu Szczecińskiego, w tej samej wsi pracowały Czesława i Kamila Bednarczykówny. W Stargardzie był Józef Brzostek, brat Czesławy. Gdzieś niedaleko był Mieczysław Siedlecki. Widywali się czasem w wolnym czasie.

Helena Brzostkówna była w okolicach Kilonii. W tych samych okolicach była jej siostra Apolonia, ale nie znały dokładnie miejsc swojego pobytu, więc w czasie wojny nie widywały się.



Zofia Traczyk



Jadwiga Siedlecka

Wspomnienia Czesławy Grabowskiej (1924-2015) z domu Bednarczyk, z Kuskowizny



Czesława Bednarczyk

Urodziłam się w 1924 roku i mieszkałam w Kuskowiznie. Był kwiecień 1941 roku, miałam wtedy 16 lat. Ja i mój brat Józef (1922-1992) oraz kilka innych młodych dziewczyn dostaliśmy specjalne karty na wyjazd do Niemiec do pracy przymusowej w gospodarstwach. Moi rodzice (Piotr i Rozalia Bednarczyk) strasznie rozpaczali z tego powodu, że mogą już nie zobaczyć swoich dzieci. Ojciec poszedł do Arbeitsamtu do Ostrowi, czyli urzędu pracy, żeby przynajmniej zostawili mnie, ale oni nie chcieli tego zrobić. W końcu zabrali ojcu moją kartę. Tata zadowolony wrócił do domu z informacją, że ja zostaję, nie wyjeżdżam. Wszyscy się ucieszyliśmy, że przynajmniej ja zostanę w domu. Nie minął nawet tydzień, a do wsi przyjechali żandarmi. Weszli na podwórko i zapytali „czy mieszka tu Czesława Bednarczyk”. Wręczyli mi tę samą kartę, co mojemu bratu i kazali mi się szybko przygotować do drogi. Mama

pobiegła do komórki, ukroiła obsuszonego mięsa i kawał chleba, owinęła go i dała mi do jednej ręki tobołek z jedzeniem, a do drugiej trochę odzieży. Pożegnałam się z wielkim płaczem i żalem z moimi rodzicami. Na drodze czekali już chłopcy i dziewczęta z naszej wioski. Posadzili nas na wóz i powieźli do Ostrowi.

Wysadzili nas wszystkich przed ratuszem. W tamtym miejscu nocowaliśmy jedną noc, leżąc na gołych pryzkach. Nawet na chwilę nie mogłam zmrzyć oka, każdy płakał i modlił się. Nikt z nas nie wiedział, co się z nami stanie. Zastanawialiśmy się, czy jeszcze zobaczymy swoich bliskich. Rano żandarmi ustawili nas czwórkami i poprowadzili na dworzec w Lubiejewie. Tam Niemcy załadowali nas do pociągu, jak jakąś zwierzynę, do wagonów bez okien. W Ostrowi na poczekalni pozostali rodzice oraz bliscy. Cały skład wagonów liczył około 200 młodych osób. Gdy jechaliśmy pociągiem naprawdę nie mieliśmy pojęcia, gdzie nas wiozą.



Józef Bednarczyk

Dojechaliśmy do Warszawy. Cały skład pociągu otoczyli Niemcy. Stamtąd zaprowadzono nas do obozu przejściowego na ulicę Skaryszewską na Pradze, po drodze mówiąc, że „jeśli ktoś będzie uciekał, to kula w łeb”. Zaprowadzeni zostaliśmy do jakiejś szkoły, tam mieli nas przekazać dalej. Siedziałam na swoich tobołkach, czekając na placu przed szkołą, gdy w pewnej chwili usłyszałam swoje imię „Czesia, Czesia”. Poznałam ten głos, to był mój brat, którego zabrano tydzień wcześniej niż mnie. Odwróciłam się natychmiast i zobaczyłam go w oknie na pierwszym piętrze. Nie spodziewałam się, że go jeszcze spotkam tu w Polsce. Z radością podeszłam bliżej i spytałam, czy jest głodny. On potwierdził, że tak. Ale jak mam mu tam podać to jedzenie? Józek zdobył jakiś sznurek i spuścił go i wciągnął jedzenie na sznurku do góry. Od tamtej pory długo się z nim nie

widziałam. Odjechał 26 kwietnia 1941 roku pociągiem do Stargardu.

Później wzięli nas na komisję w tej szkole. Byli tam lekarze niemieccy. Kazali się wszystkim porozbierać, jak Pan Bóg stworzył, lecz my nie chcieliśmy tego robić, bo bardzo się wstydziliśmy. Po chwili podeszła Niemka, mówiąc żebyśmy się rozbierali, bo jak nie, to batem będzie nas bić. Więc co mieliśmy zrobić? Musieliśmy się rozbierać. Gdy staliśmy już nadzy, ustawili nas w szeregu, jeden za drugim, do badań. Osoby, które były zdrowe, Niemcy tylko po tyłku klepali, mówiąc „gut, gut”. I odsyłali na drugą salę. Jeśli zaś okazało się, że ktoś był chory, to zawracali go do domu. Ja i Kamila Bednarczykówna (moja koleżanka z wioski) miałyśmy takie samo nazwisko. Więc zapytali nas, czy jesteśmy siostrami. My odpowiedziałyśmy im, że tak. Więc od tej chwili pilnowałyśmy siebie nawzajem z tą myślą, że być może wezmą nas razem z racji tego, że jesteśmy rodziną i nie będą nas rozdzielać. Zostaliśmy wyprowadzeni ze szkoły i ponownie skierowano wszystkich do pociągu. Niemcy znów otoczyli pociąg, aby nikt nie uciekł. Kiedy pojazd ruszył i wyjechaliśmy parę kilometrów za Warszawę, chłopcy postanowili wyskakiwać przez okna i uciekać. Żandarmi natychmiast zaczęli strzelać w ich kierunku, lecz wielu udało się uciec z pociągu.

Jechaliśmy cały dzień i noc. Zastanawialiśmy się, gdzie oni nas wiozą. Po raz kolejny wybuchła rozpacz wraz z najgorszymi myślami, przychodzącymi do głowy. Dojechaliśmy do Szczecina, a reszta pojechała do Pasewalk (30 km na zachód od obecnej granicy, 40 km od Szczecina). Znow zaprowadzono nas na drugą komisję i kazano ponownie zdejmować ubrania. Tym razem wkładali odzież do takich pieców, żeby ją wyparować, aby nie zawieźć do nich żadnego robactwa. Po tym wszystkim dali nam do jedzenia chleb i szwajcarski ser. Nie mogłam go jeść i zjadłam tylko sam chleb. Potem zaprowadzili nas do urzędu pracy, tam już czekały na nas Niemki. Podeszły do mnie i Kamili, pytając, czy umiemy doić krowy. My nic nie rozumiałyśmy po niemiecku i tylko wzruszałyśmy ramionami, odpowiadając „nicht verstehen” (nie rozumiemy). One zaczęły więc nam pokazywać rękami i wtedy się domyśliłyśmy, że chodzi o dojenie, więc powiedziałyśmy, że potrafimy. Dobrze było widać, że to córki gospodarskie. Zawołały one chłopaka, który już dwa lata u nich pracował. Potrafił on dobrze mówić po niemiecku. Niemki kazały mu zabrać nas do ich wioski, gdzie miałyśmy pracować w gospodarstwie. Wieś nazywała się Ladenthin (po zachodniej stronie obecnej granicy, 17,5 km na południowy zachód od Szczecina). Obie Niemki zostały w Szczecinie na zakupach, a my pojechaliśmy do wsi. Po drodze ten chłopak zapytał, skąd my przyjechaliśmy, odpowiedziałyśmy, że z Ostrowi Mazowieckiej. Kolejnym pytaniem było, czy jesteśmy z gospodarki, my odparłyśmy, że tak. Gdy dojechaliśmy, chłopak zabrał Kamilę do swojego gospodarza, a mnie dwa domy dalej. Cieszyłam się, że będziemy blisko siebie, w jednej miejscowości. Mojej gospodyni jeszcze nie było w domu, ale była tam jej kuzynka, która gotowała obiad. Zaprowadziła mnie do pokoiku, w którym miałam mieszkać. Pokoik był ładny. Stał tam stolik, krzesło, szafka na ubrania i łóżko. Spodobało mi się tam na pierwszy rzut oka, chociaż bałam się, jak to będzie. Kuzynka gospodyni zrobiła mi zaraz coś do jedzenia, nie ukrywałam, że byłam bardzo głodna. Ukroiła mi dwie kromki chleba, posmarowała masłem i na to położyła szynkę, nalala mi też kawę, ale bez cukru. Pomyślałam sobie, że będzie dobrze u tych Niemców. Obiad z dwóch dań, ja w domu takiego jedzenia nie miałam przed wojną. Najwyżej mama posypała chleb cukrem, albo gotowała kapustę kwaszoną zaprawioną sadłem. Takie było życie przed wojną na wsi. Kuzynka gospodyni chciała ze mną porozmawiać, lecz się nie rozumiałyśmy. Po obiedzie kazała mi pozmywać talerze. Zaczęłam robić to powoli i bardzo dokładnie, żeby gospodyni na mnie nie krzyczała, a była zadowolona z wykonanej pracy. Po chwili przyjechała właścicielka gospodarstwa ze Szczecina. Popatrzyła na mnie i powiedziała do swojej kuzynki, „szkoda, że nie wzięłam tej Kamili, bo ona ma już 20 lat, jest od niej starsza i pewnie lepiej dawałaby sobie radę w gospodarstwie, a ta moja Czesia ma 16 lat to młody dzieciak, drobna i niemrawa, tak się powoli krząta przy tych talerzach”. Kiedy pobylam już parę tygodni, to trochę się oswoiłam. Zmywałam coraz szybciej, chociaż nieraz musiałam po sobie poprawiać. Gdy gospodyni zaprowadziła mnie do dojenia krów, to się złapałam za głowę. Niemka zaczęła pokazywać mi, że mam doić te krowy, a ja patrzę z niedowierzaniem, że tych krów jest aż 10 sztuk. Wtedy się wystraszyłam i pomyślałam, czy ja dam radę, czy moje ręce wytrzymają. W moim domu w Polsce doiłam tylko dwie krowy i tylko od czasu do czasu, bo mama to robiła. Ciężko mi było przez pierwsze dni, ale po jakimś czasie wprawiłam się i jakoś dawałam sobie radę. Często myślałam i tęskniłam do rodziny i moich bliskich. I tak spędziłam swoje tygodnie na robotach w Niemczech. Czas mijał wolno.

Po jakimś czasie dowiedziałam się, że mój brat Józef jest niedaleko w Stargardzie, ze 40 km ode mnie. Postanowiłam więc bez wiedzy gospodyni i bez żadnej przepustki, odwiedzić go. Była niedziela, obrobiłam to, co miałam zrobić. Posprzątałam po obiedzie i ruszyłam w drogę. Wyjechałam pociągiem do Szczecina. Kupiłam bilet do Stargardu, ale tam już nie było pociągu, bo przed chwilą odjechał. Postanowiłam, że pójdę tam piechotą. Wyszłam z poczekalni i poszłam torami. ale po kilkuset metrach tory nagle się rozeszły w dwóch kierunkach. Nie wiedziałam, którądy teraz mam iść. Obleciał mnie strach, a miałam jeszcze 20 km do brata i nie wiedziałam, w którą stronę się udać. Pomyślałam sobie, że w nocy Niemcy mnie złapią i wsadzą do więzienia, bo będą myśleć, że uciekam do Polski, a Polakom nie wolno było chodzić w nocy, tym bardziej bez przepustki. Trzeba było mieć też odznakę „P” na ubraniu (oznaczenie Polaków w III Rzeszy na przymusowych robotach), ja właśnie jej nie miałam. Postanowiłam w końcu zawrócić. Po powrocie do domu, gospodyni zaniepokojona pytała mnie, gdzie byłam tak długo. Ja ze strachem powiedziałam jej, że byłam odwiedzić brata. Niemka mówi, że bardzo się denerwowała i w końcu musiała powiadomić żandarmerię, lecz po krótkiej chwili, po wysłuchaniu mnie, oddzwoniła, że już się znalazłam. Na drugi dzień do mojej gospodyni przyszedł żandarm. Od razu pomyślałam, że to pewnie w mojej sprawie. Pobiegłam szybko do swojego pokoiku, żeby przyszyć sobie literkę „P”, lecz nie zdążyłam tego zrobić. Żandarm zawołał mnie do siebie i pyta, gdzie ma literę „P”, spuściłam głowę nic nie mówiąc. Na brak mojej odpowiedzi uderzył mnie z całej siły w twarz. Po chwili zapytał, gdzie ja byłam, gdy powiedziałam prawdę, że u brata, ponownie uderzył mnie w twarz, mówiąc żeby to więcej się nie powtórzyło. Wybiegłam zapłakana do swojej pracy i od tamtej pory nigdy więcej bez wiedzy gospodyni i bez przepustki się nie oddalałam. Kiedy chciałam odwiedzić brata, gospodyni brała od sołtysa specjalną przepustkę i wtedy mogłam już legalnie do niego jechać.

Po dwóch latach pracy, zdarzył mi się przykry wypadek. Wywoziliśmy obornik na pole. Podczas roztrząsania, ukłułam się widłami w stopę. Kość zaczęła mnie boleć, ale nie zwracając większej uwagi myślałam, że mi przejdzie. Pracowałam do wieczora. Gdy wróciłam z pola bolało mnie coraz mocniej, aż nie mogłam uskoczyć. Zaraz gospodyni dała mi ciepłej wody, żeby tę nogę wymoczyć. Do rana myślałam, że nie wytrzymam, nie mogłam nic robić. Dostałam wysokiej gorączki, zaczęłam majaczyć, noga mi spuchła. Zmartwiona gospodyni powiedziała, że to poważna sprawa. Wysłała ze mną dziewczynę, nazywała się Danka, która znała dobrze niemiecki, żeby pomogła mnie zawieźć do lekarza. Pojechaliśmy pociągiem do oddalonego od wioski o 15 km szpitala w Szczecinie. Doczołgałam się tam jakoś o kiju, na jednej nodze, okazało, że muszę się wdrapać na piętro po schodach. Stałyśmy i myślałyśmy, jak się tam dostać. Zaczęłam więc iść jak małe dziecko na czterech. Jakoś udało mi się tam wgramolić. Usiadłam w poczekalni, a Danka poszła mnie zarejestrować do lekarza. Z bólu nie mogłam już wytrzymać, a stopa była już cała w ropie. Wzięli mnie na salę, lekarz stwierdził, że było to zakażenie, więc dali mi narkozę, zrobili operację i kazali iść do domu. W szpitalu nie było miejsca, żeby mnie tam zostawić, a chodzenie nadal było dla mnie tak bolesne, że co parę kroków się przewracałam. Musiałam, co tydzień jeździć na opatrunki 7 km, gdzie wozili mnie koniem. Leżałam dwa miesiące w łóżku, a drugie dwa chodziłam o kiju na jednej nodze. Na moje miejsce do pomocy w gospodarstwie przywieźli Rosjanek, bo ja nie byłam zdolna do pracy. Potem, gdy było już trochę lepiej z moją nogą, to zaczęłam powoli wracać do pracy, lecz nadal kulałam. I tak minęło 4 lata mojej pracy w Niemczech.

Nadszedł czas, kiedy Niemcy zaczęli się wycofywać, bo zbliżał się front rosyjski. Był już 1945 rok. Niemców zaczęli wysiedlać. Gospodarze przygotowali wozy ze specjalnymi pałubami, jak u Cyganów. Zabierali co się dało i w drogę w kierunku Berlina. A ja razem z nimi. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów, dojechaliśmy do jakiegoś miasta, zdaje się, że to było miasto Anklam [po zachodniej stronie Zalewu Szczecińskiego], dokładnie nie wiem. Zrobił się zator i wszystkie wozy stanęły. Po chwili nadleciały samoloty nad tym miastem i zaczęły bombardowanie. Trwało to może godzinę. Po drodze mijaliśmy zabitych ludzi i zwierzęta. Ruszyliśmy dalej w drogę, gdy dojeżdżaliśmy już do miasta, po raz drugi nadleciały samoloty i znów zaczęły bombardować i strzelać z karabinów maszynowych, a my byliśmy w tym mieście. Wskoczyliśmy z tych wozów przycisnęliśmy się do jednego z murów, słychać było tylko krzyk i jęki. W końcu wszystko ucichło, więc ruszyliśmy dalej. Dojechaliśmy do jakiejś wioski. Gospodarz zapytał, czy możemy przenocować. Gdy pokładliśmy się spać, rano zobaczyliśmy już Rosjan na podwórku. Jechaliśmy dalej. Po drodze spotkaliśmy Rosjan jadących wolantem. Zabrali naszemu gospodarzowi jego ładne konie, a dali mu swoje liche. Potem i te liche zabrali. My w końcu zostawiliśmy Niemców i przyłączyliśmy się do Polaków, którzy wracali do Polski. Wróciłam do domu na wiosnę 1945 roku. Mój brat Józef wrócił dopiero w grudniu 1945 roku statkiem z Anglii do Gdańska.

Spisał  
Stanisław Bednarczyk  
(wnuk)

#### Relacja Jana Brzostka z Kuskowizny



Czesława Brzostek

Moja mama Czesława Brzostek (1922-2012, córka Stanisława i Marianny Brzostków), mieszkająca w Kuskowiznie, miała niespełna 19 lat, gdy w kwietniu 1941 roku dostała nakaz wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec. Mama została skierowana na Pomorze w okolice Szczecina, a dokładniej Gryfina nad Odrą, do majątku rolnego w miejscowości Gross Hinfeld, gmina Fiddichow (obecnie polska wieś Widuchowa w powiecie gryfińskim), ok. 600 km od domu. Gospodarz nazywał się Albert Rytzkow. Ich syn był na wojnie, gospodarstwem kierowali jego rodzice, była jeszcze ich synowa i dwoje małych dzieci. Gospodarstwo było duże. Hodowano kilkadziesiąt krów. Cztery kobiety zajmowały się ich dojeniem, w tym moja mama. Poza tym pracowali przy żniwach, wykopkach, przy młóceniu zboża i wszystkich innych pracach rolnych.

Razem z mamą były Janina i Zofia Brzostkówny. Niedaleko, ze 20 kilometrów od Szczecina były Czesława i Kamila Bednarczykówny oraz Józef Bednarczyk, który był kilkanaście kilometrów dalej. To były okolice między Szczecinem, Gryfinem i Stargardem Szczecińskim.



W niedziele i święta odwiedzali się. Mama i pozostałe osoby wróciły w lutym 1945 roku. Już wtedy Niemcy z tamtych okolic uciekali na zachód przed nadchodzącym frontem rosyjskim. Przejeżdżali wozami z dobytkiem przez zamrzniętą Odrę. Polacy, przymusowi robotnicy zbierali się w grupy i też wyjeżdżali stamtąd, wracali do domu. Nikt już ich wtedy nie zatrzymywał.

W 2001 roku moja mama otrzymała odszkodowanie za 45 miesięcy przymusowej pracy w Niemczech. Niemiecka Fundacja „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” za pośrednictwem Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie” wyceniła tę pracę na 2 tys. DM (marki niemieckie). W 2001 roku mama otrzymała 3346 zł., czyli mniej więcej równowartość jednej krowy. Była na robotach od kwietnia 1941 roku do końca stycznia 1945 roku, a więc ok. 1200 dni, nawet po odjęciu niedziel i dni świątecznych. Jeśli tę sumę podzielimy na 1200 dni, to dniówka wyniesie 2,80 zł. Tyle był wart dzień pracy polskiego przymusowego robotnika, niewolnika, w Niemczech w czasie wojny.

### Relacja Henryka Grabowskiego z Kuskowizny



Kazimierz Bednarczyk

Mój teść Kazimierz Bednarczyk (1911-1996) oraz teściowa Apolonia Brzostkówna (1925-2007) byli pięć lat na przymusowych robotach w Niemczech. Teść dostał się do niewoli we wrześniu 1939 roku w okolicach Różana, dokładniej we wsi Czarnowo nad Orzem. Przed wojną służył w jednostce w Zambrowie, był w wojsku strzelcem. Już w pierwszym tygodniu września Różan został zajęty przez Niemców, a polscy żołnierze otoczeni i wzięci do niewoli. Teść został postrzelony w nogę. Jako jeńców wojennych na wozach przewieziono ich do Jasienicy, a stamtąd po kilku dniach do Przeworska. W Przeworsku zostali posegregowani i wysłani do obozu jenieckiego w Niemczech, w Elmshorn, w regionie Szleszwik Holsztyn (niem. Schleswig Holstein), około 30 kilometrów od Hamburga. Po jakimś czasie teść został przydzielony do gospodarstwa Klemensa Högemanna w Osnabrück, w Dolnej Saksonii. Był tam do końca wojny, do wyzwolenia przez aliantów. Następnie został przez aliantów skierowany do służby wojskowej i szkolony w okolicach Hanoweru. Do Polski wrócił dopiero na początku 1947 roku. Nie narzekał na swoich pracodawców, byli to dobrzy ludzie. Nawet chcieli, aby ich kilkunastoletni synowie uczyli się polskiego, a oni uczyli go niemieckiego. O ich uczciwości względem teścia świadczy też fakt, że wysłali go do dentysty, aby sobie wyleczył zęby. Ostrzegali, aby on i inni Polacy nie zbierali jabłek, które leżały przy drodze, aby nie grali w karty w czasie wolnym, nie chodzili na potańcówki, bo za to groziły kary. Musieli też być o określonej godzinie wieczorem w domu. Gospodarz był sołtysem. Teść wspominał, że nawet miejscowy policjant na wszystko „przymykał oko”, a listonosz pośredniczył w wysyłaniu listów do Polski.



Apolonia Brzostek

Przyplłynęli statkiem z Hamburga do Szczecina lub Gdańska, a stamtąd pociągiem do Warszawy, a potem do Małkini. W Małkini przenocowała i wróciła do Kuskowizny.

Z kolei, moja teściowa Apolonia Brzostkówna (córka Józefa) trafiła bardzo źle. Była w miejscowości Vaale, w regionie Szleswik Holsztyn (Schleswig Holstein), kreis (powiat) Wilster, około 50 kilometrów od Hamburga, w okolicach Kanału Kilońskiego. Gospodarz, u którego pracowała był członkiem SS (w domu miał mundur). Nazywał się Hermann Hoppe (Hoope?). Wobec swoich robotników był bardzo ostry i nieżyczliwy. Teściowa pracowała w domu (czyściła ubrania, buty, sprzątała), w kuchni (gotowała), ale również i w polu. Gdy kiedyś wzięła jabłko ze stołu w kuchni, została za to ostro skarcona. Robotnik Serb, któremu wpadło coś do oka na polu i nie mógł pracować, został pobity. Gdy teściowa chciała mu zanieść trochę chleba, również została za to ostro skarcona. Wróciła do Polski na Boże Narodzenie 1945 roku w pierwszym transporcie, po wyzwoleniu przez wojska



Helena Brzostek

Na przymusowe roboty została też wywieziona starsza siostra teściowej – Helena Brzostkówna. Pracowała niedaleko od Apolonii, w tych samych okolicach, niedaleko Hamburga, ale nigdy w czasie wojny nie spotkały się, ponieważ nie znały swoich miejsc pobytu. Ona z kolei, poznała jeńca wojennego Belga, wyszła za niego za mąż, wyjechała do Belgii i tam pozostała. Do Kuskowizny przyjechała z rodziną w odwiedziny kilkanaście lat po wojnie.

Spisała Jadwiga Sadowska  
w marcu 2019 r.



## Wspomnienia Antoniego Dębka (1924-2021) z Kaczkowa Starego



Antoni Dębek

W czasie wojny byłem prawie dorosły. Urodziłem się w 1924 roku, gdy zaczynała się wojna miałem 15 lat, gdy się kończyła miałem 20. Pamiętam dobrze wyznaczanie na przymusowe roboty do Niemiec. Sołtys, w Kaczkowie Starym był nim Jan Stefańczyk, otrzymywał tzw. kontyngent, tzn. liczbę osób, które miały wyjechać na roboty i wyznaczał konkretne osoby, które miały przynajmniej 15 lat, kobiety niezamężne, kawalerów. Ludzie od nas ze wsi pracowali przeważnie u tzw. bauerów, czyli rolników niemieckich, bo znali robotę na polu i w gospodarstwie. Niektórzy pracowali niedaleko, w Prusach, tzn. na Mazurach, inni dalej – koło Szczecina, Berlina, ale niektórzy byli wysyłani jeszcze dalej, np. mój sąsiad (cioteczny brat) Stanisław Kotowski był wysłany w 1943 roku

aż pod francuską granicę do Bawarii, gdzieś koło Monachium. Najgorsze było to, że trzeba było wyjechać do obcych ludzi, daleko od swoich. A wyjeżdżali ludzie bardzo młodzi, czasem mający zaledwie 15 lub 16 lat.

Najpierw na roboty do Niemiec byli kierowani jeńcy wojenni, którzy w 1939 roku dostali się z wojska do niewoli. Takimi jeńcami byli z Kaczkowa Starego: Stanisław Sadowski (s. Antoniego), Marian Parys (s. Stanisława) – zginął w wypadku na budowie, był cieślą, Feliks Sadowski (s. Piotra), bracia Roman i Henryk Delugowie (s. Kacpra), Aleksander Borowy (s. Piotra), Aleksander Przywoźny (s. Jakuba). Z Kaczkowa Nowego byli to: Stanisław Sadowski (s. Józefa), Antoni Żach (s. Andrzeja), Józef Korzeb (s. Antoniego), Franciszek Brzostek (s. Józefa) – przygniótł go ciągnik w silosie i zginął.

Do niewoli dostał się jeszcze Roman Borowy (s. Franciszka), on pozostał w obozie jenieckim oraz nauczyciel Gustaw Majewski. Ich wyzwoliły dopiero wojska amerykańskie. Był jeszcze jeden – Jan Borowy (s. Andrzeja), który dostał się z wojska do niewoli i nie wrócił do wsi. Jako jeńiec był w Niemczech, został wyzwolony w strefie angielskiej, wyjechał do Anglii i tam zmarł.

Wsie Kaczkowo Nowe i Stare otrzymały dwa razy nakazy wysłania ludzi na roboty. Pierwszy raz, była to wiosna 1941 roku. W tym pierwszym terminie na roboty wyjechali z Kaczkowa Starego: bracia Jan i Stefan Sokołowscy (s. Piotra), bracia Marian i Józef Zbiejczykowie (s. Franciszka), Władysława Nicińska (c. Franciszka z Grzybówki, wyjechała po wojnie na Ziemię Odzyskane), Feliks Niciński (s. Franciszka z Kaczkowa, 16 lat), Jadwiga Figat (c. Piotra z Feliksowa, 15 lat), Jadwiga Frankowska (c. Czesława, gajowego z Rudy, 16 lat, późniejsza żona Stanisława Deptuły), Marian Deluga (s. Kacpra), Stanisława Rybakiewiczówna (c. Józefa z Feliksowa, późniejsza Pocztańska), Lucjan Plaskota (s. Czesława z Feliksowa, 16 lat), Antoni Ruciński (s. Andrzeja), Stanisław Ruciński (s. Piotra, 16 lat), Antoni Kuśpiel (s. Józefa, 15 lat), Edward Deluga (s. Heleny, 17 lat).

Z Kaczkowa Nowego na robotach była Marianna Parysówna (c. Piotra, późniejsza żona Józefa Szulęckiego). Słyszałem, że dobrowolnie zgłosił się na roboty do Niemiec Leonard Przywoźny (s. Stanisława) z Kaczkowa Nowego, który po wyzwoleniu, z Niemiec wyjechał do Ameryki (USA).

W drugim poborze, w marcu 1943 roku wyznaczono 32 osoby z Kaczkowa Starego i Nowego. Wśród wyznaczonych była moja starsza ode mnie o dwa lata, siostra Marianna, za którą się zgłosiłem na wyjazd. Ustaliliśmy z ojcem, że ja pojedę, jako prawie 19-letni chłopak jakoś sobie poradzę, a ona zostanie. We wskazanym dniu znaleźliśmy się na stacji w Małkini, przygotowani do wyjazdu, ale wtedy okazało się, że Niemcy potrzebują kilkanaście osób do obsługi kolei. Małkinia była ważną stacją na kierunku wschodnim. Tędy przechodziły transporty niemieckie na front rosyjski. W ten sposób 13 mężczyzn nie pojechało na przymusowe roboty do Niemiec, ale zostało w domu, pracując zastępczo na kolei. Z naszej wsi, oprócz mnie byli: Tomasz Parys (s. Aleksandra, 22 lata), Feliks Lipski (s. Józefa, 20 lat), Walenty Sadowski (s. Piotra, 17 lat), Stefan Sadowski (s. Antoniego, za niego pracował brat Zygmunt), Stanisław Deptuła (s. Franciszka), Józef Borowy (s. Andrzeja), a z Nowego Kaczkowa: Stanisław Fabiański (s. Jana), Stanisław Koziara (s. Stanisława), Mieczysław Rogaski (s. Władysława), bracia Jan i Marian Rogascy (s. Piotra), Franciszek Ruciński (s. Stanisława). Co dwa tygodnie dostawaliśmy „wypłatę”. Można było za nią kupić pół litra bimbru. Trzeba jednak powiedzieć, że dostawaliśmy raz dziennie zupę. Gotowały ją dwie Polki. Pracowaliśmy do połowy sierpnia 1944 roku, przestaliśmy chodzić na stację, gdy już Niemcy wycofywali się i nadchodziły wojska rosyjskie.

Z tego poboru na roboty do Niemiec został wysłany cioteczny brat, o którym wspominałem, Stanisław Kotowski (s. Franciszka), który najpierw pracował w fabryce brykietów, potem w fabryce szkła, ale gdy zaczął chorować wysłali go na gospodarstwo do bauera gdzieś aż pod francuską granicę. Wrócił, gdy wojna się skończyła. Pamiętam, że przywiózł z Niemiec maszynkę do strzyżenia włosów.

Kilka osób zostawiono do pracy na miejscu – w lesie i w majątku rządowym, dzierżawionym przez Władysława Króla w Kaczkowie Starym (w „Sadzie”), który miał jakieś kontakty z Niemcami. Pamiętam, że tak pracowała moja cioteczna siostra Marianna Żachówna (późniejsza żona Henryka Figata) i Zygmunt Gotowicki.

Spisała Jadwiga Sadowska  
w marcu 2018 r.

## Z PAWIAKA DO NIEMIEC.

Relacja Mariana Kruka (s. Władysława) z Kaczkowa Nowego



Genowefa Kruk

Na sukience widoczna jest naszywka z literą „P”, wyróżniająca polskich robotników przymusowych.

Mój ojciec Władysław Kruk (ur. 1913) miał dwóch starszych braci - Antoniego i Jana. Niemcy „polowali” na wszystkich, kto w okolicy miał nazwisko Kruk. Poszukiwali Franciszka Kruka, naszego kuzyna, który się ukrywał. W 1943 roku we wrześniu aresztowali i wywieźli do “czerwoniaka” w Ostrowi stryja Jana oraz dwoje sąsiadów Józefa Przywoźnego oraz sąsiadkę Stanisławę Borową. I nic już więcej o nich nie wiemy. Na pewno zostali zabici i zakopani gdzieś w pobliskim lesie. Kilka tygodni później Niemcy przyjechali w poszukiwaniu stryja Antoniego. Wtedy zabili na podwórzu ich matkę, a moją babkę Mariannę Kruk.

Stryj Antoni ukrywał się w lesie do końca wojny. Najmłodsza siostra ojca – Genowefa (ur. 1922) i mój ojciec zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu na Pawiaku w Warszawie. Siedzieli chyba 3 miesiące. W końcu skierowano ich stamtąd na przymusowe roboty do Niemiec. Pracowali w rolnictwie, ciotka w Proschwitz za Dreznem (ok. 300 km na zachód od Wrocławia), a ojciec w Lehnitz koło Oranienburga, kilkadziesiąt kilometrów na północny zachód od Berlina (600 km od naszej wsi). Gdy wojna kończyła się Genowefa dołączyła do grupy Polaków i znalazła się we Wrocławiu, i tu pozostała. Ojciec wrócił do wsi w 1946 roku.

Spisała Jadwiga Sadowska  
w czerwcu 2018 r.

## NA PRZYMUSOWYCH ROBOTACH KOŁO KRÓLEWCA

Wspomnienia Jadwigi Deptułej (1925-2017), z domu Frankowskiej, z Feliksowa



Jadwiga Deptuła

Urodziłam się w styczniu 1925 roku na Rudzie. Mój ojciec Czesław Frankowski był gajowym i co jakiś czas przenoszono go w inne miejsce. W czasie wojny mieszkaliśmy na gajówce pod Brokiem na tzw. Podduczu (naprzeciwko Zamościa). Moja starsza siostra Stanisława i jej mąż Stefan Charucki, też gajowy, mieszkali w okolicach Ostrołęki. Ja pomagałam im w domu i przy dzieciach, a poza tym trochę pracowałam w lesie.

Gdy skończyłam 16 lat wyznaczono mnie na przymusowe roboty do Niemiec. Byłam właśnie w tym czasie u siostry i tam po mnie przyszedli w kwietniu 1941 roku, chyba pracownicy tego niemieckiego urzędu pracy, czyli Arbeitsamtu. Wyjechałam do bauera w okolice Królewca, wtedy to był Königsberg, ok. 300 km od domu. Gospodarstwo było dosyć duże, pracowali na nim właściciele, czyli młody gospodarz z

żoną, młody Niemiec w wieku ok. 20 lat, ja i jeszcze dwie dziewczyny starsze ode mnie – jedna Litwinka, druga Polka z województwa świętokrzyskiego. Dom prowadziła babka, matka gospodarza. Nie lubiliśmy jej i ona nas też, nigdy się do nas nie odzywała i tak jakby ciągle miała do nas o coś pretensje, natomiast gospodarz i jego żona nie byli dla nas źli. Mieli czworo małych dzieci i właśnie ja się nimi zajmowałam. Przede wszystkim codziennie było pranie, sprzątanie, no i pilnowanie dzieci. Poza tym moim obowiązkiem było rano i wieczorem wydojenie siedmiu krów. To naprawdę dużo. Niedziele miałyśmy wolne.

Zatrudniony w gospodarstwie młody chłopak Niemiec ciągle nam dokuczał, a nawet kiedyś pobił mnie, więc po siedmiu miesiącach postanowiłyśmy uciec. Było to zimą. Oczywiście gospodarz zgłosił do Arbeitsamtu naszą ucieczkę, więc daleko nie uciekłyśmy, zaledwie dojechałyśmy pociągiem do najbliższego miasteczka. Zostałyśmy zatrzymane i osadzone w areszcie. Powiedziałyśmy, że chcemy pracować u kogo innego, bo u tego gospodarza jest nam źle. Nie wiem, czy źle nas zrozumiano, czy tłumacz źle przetłumaczył w każdym razie w protokole zapisano, że gospodarz nas głodził, co oczywiście nie było prawdą, ani my tak nie powiedziałyśmy, a nasz gospodarz właśnie o to miał do nas największą pretensję. I parę razy nas pytał o to głodzenie.

Przesiedziałyśmy w areszcie 3 tygodnie, a po tym czasie przyjechał po nas nasz gospodarz i musiałyśmy do niego wrócić. Okazało się, że dzieci się już do nas przyzwyczyły i gospodarz, ani jego żona nie chcieli brać nikogo nowego. No i wróciłyśmy. Przez trzy lata nie byłam w domu, a na jesieni 1944 roku dano mi urlop, przyjechałam do domu i już nie wróciłam. Zresztą w tym czasie sytuacja na wojnie się już zmieniała. Na jesieni 1944 roku już Niemców nie było na naszym terenie. Trochę się ukrywałam, ale właściwie nikt mnie nie szukał. Gdybym została

dłużej w okolicach Królewca, musiałabym przejść okropności frontu rosyjskiego i bombardowań tamtego terenu przez wojska rosyjskie.

Spisała Jadwiga Sadowska  
w lipcu 2017 r.

## WYPŁATY NIEMIECKIE

Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie” uprzejmie informuje, że 6 lipca 2000 roku Bundestag uchwalił Ustawę o wypłacie świadczeń dla byłych robotników niewolniczych i przymusowych III Rzeszy.

Przeznaczone są one dla żyjących ofiar tych represji. Wyjątek stanowią spadkobiercy poszkodowanych zmarłych w dniu 16 lutego 1999 roku i po tej dacie.

### Świadczenia otrzymają:

KATEGORIA REPRESJI	PRZEWIDYWANA WYSOKOŚĆ ŚWIADCZENIA
• więźniowie obozów koncentracyjnych, gett i ofiary Holocaustu	15 tys. marek (około 30 tys. złotych)
• więźniowie obozów karnych, więzień, obozów pracy wychowawczej i obozów Polenlager na Śląsku	między 5 a 12 tys. marek (około 10-24 tys. złotych)
• robotnicy deportowani do III Rzeszy i na tereny okupowane do pracy w przemyśle i sektorze publicznym	4 tys. marek (około 8 tys. złotych)
• robotnicy deportowani do III Rzeszy i na tereny okupowane w rolnictwie, usługach i rzemiośle	2 tys. marek (około 4 tys. złotych)
• dzieci do lat 12 deportowane z rodzicami lub urodzone podczas robót przymusowych	2 tys. marek (około 4 tys. złotych)
• dzieci do lat 16 przebywające w obozach przejściowych	1 tys. marek (około 2 tys. złotych)

Dodatkowe świadczenia będą mogły otrzymać matki, których dzieci zginęły w Kinderheimach oraz ofiary eksperymentów pseudomedycznych – w tym wypadku wysokość świadczenia będzie ustalana przez Fundację niemiecką indywidualnie (maksymalnie do 15 tysięcy marek).

Na wysokość wypłat nie ma wpływu liczba miesięcy represji.

Świadczenia będą wypłacane w złotówkach w dwóch ratach.

---

Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”, ul. Krucza 36, 00-921 Warszawa  
Ośrodek Informacyjny, ul. Wspólna 30 w Warszawie – tel. 0-22 629-73-35  
bezpłatne infolinie – wypłaty niemieckie 0-800 100-900, wypłaty austriackie 0-800 40-50-60  
adres internetowy – [www.fnpn.pl](http://www.fnpn.pl)